

MARCIN BRZOSTOWSKI

POZYTYWNI NIEOBLICZALNI



MARCIN BRZOSTOWSKI

**POZYTYWNI
NIEOBLICZALNI**

© Copyright by
Marcin Brzostowski & e-bookowo

Projekt okładki:
Michał Olejarski

ISBN 978-83-7859-332-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie II poprawione 2014
Wydanie I 2002

Marcin Brzostowski *Pozytywnie nieobliczalni*

Wszelkie podobieństwo bohaterów tej książki
do jakichkolwiek osób jest przypadkowe
i nie zamierzone przez autora.

Czy pamiętasz raj na ziemi?
Nie, już wszyscy zapomnieli.
Płacze moje serce,
krzyczy moje ciało.
Co się z tym wszystkim stało?

Tomasz Lipiński

Marcin Brzostowski *Pozytywnie nieobliczalni*

CZĘŚĆ I

– **S**łuchaj Marlon, rzucamy monetą! – grzmiał pod-
ekscytowany i pełen animuszu Robert. – Jeśli wypadnie
orzeł, idziemy na kurwy. Jeśli wypadnie reszka, jedziemy
do zoo, postraszyć niedźwiedzie. Mamy jeszcze kasę, a do
roboty możesz się chyba spóźnić?

– Skoro chcesz do zoo, to najpierw wysikamy się do
Wisły – podchwycił pomysł Marlon. – Wysikamy się do
królowej naszych rzek z Poniatoszczaka, potem to wszyst-
ko podpalimy i spokojnie zaczekamy na wschód słońca –
konkretyzował zamiary, gdy tymczasem przyjaciel osunął
się pod knajpiane drzwi i, wyraźnie tym faktem uradowa-
ny, zaczął układać się do spania.

Zaistniała sytuacja, nie różniąca się tak bardzo od
wcześniejszych finałów nocnych eskapad, była jednak
dziś, dla o wiele mniej trafionego niż zwykle Marlona,
dosyć kłopotliwa. Zdawał sobie sprawę z tego, że będzie
musiał odwieźć zalanego w trupa Roberta do domu, a co
więcej, będzie zmuszony wyjaśnić Goście, jego żonie, dla-
czego tak facet popłynął. Wiedział o tym, że Gośka będzie
czekać nawet do rana, aby ujrzeć oblicze, pijane lub nie,
swojej drugiej połowy. Mógł jej, rzecz jasna, opowiadać
cuda wianki i o tym, i o tamtym, ale i tak by wyszło, że
powód dzisiejszego, a może już wczorajszego pijaństwa
był prosty – Roberta wylali z kancelarii.

...

Marlon pozbił przyjaciela z chodnika, ustawił go do pionu, po czym zaczął się rozglądać za taksówką. Miał fart, gdyż po chwili wyrósł mu przed oczami biały merc, który zbliżył się do niego i nagle zatrzymał. Nie chcąc kusić losu, Marlon zapakował Roberta na tylne siedzenie taksówki i sam usiadł obok niego. – Nie wyrzyga się w samochodzie, co? – zapytał go taksówkarz, zerknąwszy uprzednio na Roberta. – Mam nowiotką tapicerkę prosto z Niemiec, a tak w ogóle to mój ostatni kurs. Sam pan rozumie, człowiek chce do łóżka, a nie tam babrać się w jeszcze nie przetrawionym do końca piwsku.

Marlon, chcąc go uspokoić, a przede wszystkim zamknąć mu gębę, zaproponował podwójną stawkę oraz wizytówkę kancelarii adwokackiej – Wróblewski, Prus i Partnerzy. – Może się panu kiedyś przydać – wręczył kartonik miejskiemu rajdowcy i poprosił o zmianę grającej jakieś bzdety radiostacji. – Nigdy nic nie wiadomo.

Kiedy jechali niemal zupełnie pustym Krakowskim Przedmieściem, z głośników popłynęły znajome dźwięki, na które taksówkarz zareagował szybszą niż dotychczas jazdą. Krzysiu Jaryczewski łkał: „Jak wygląda ten wasz cudny świat. Ja to wiem i oni wiedzą jak. Napiętnowany marzeniami, napiętnowany...” Słuchając tych wyznań, Marlon pomyślał o Robercie, a także o tym, jak zareaguje na to wszystko Gośka. Nie było im przecież tak łatwo. Ona już za kilka miesięcy ma bronić dyplom na Akademii Medycznej i w końcu będzie zmuszona zdecydować się, czy zostanie na uczelni, co by z pewnością wolała, czy też podejmie pracę w szpitalu. Oboje jednak doskonale wiedzieli o tym, że wszystkie ich plany są uzależ-

nione od tego, co aktualnie będzie robił Robert. Choć skończył on prawo i według jej wczorajszej wiedzy pracował w całkiem niezłej kancelarii adwokackiej, to jednak, mając już trzydzieści lat, dopiero rozpoczął aplikację radcowską. Jeśli przejdzie bez szwanku przez to całe prawnicze grzędzawisko i zda egzaminy końcowe, to pożyteczną w życiu pieczętą radcy prawnego będzie mógł wyrobić najwcześniej za jakieś trzy lub cztery lata. Do tego jednak czasu nie będzie zarabiał tyle, ile rzeczywiście powinien, a przede wszystkim będzie na łasce tłuściochów w togach albo ryczących czterdziestek w permanentnym okresie klimakterium. Robert nie miał bowiem ani tatusia, ani mamusi, którzy ustawiliby synalka w zawodzie, tak jak czyniła to większość rodziców znanych Marlonowi prawników. Poza tym, z nową robotą może być zawsze różnie.

Pomimo szczerych chęci Marlon nie miał zbyt wiele czasu na analizę przyszłości, gdyż w okolicach Dworca Gdańskiego pasażerowie taksówki przeżyli lekki kryzys. To znaczy kryzys przeszedł Robert, a za jego sprawą Marlon oraz psychiczna odporność szofera. W jednej chwili chrapiący dotychczas Robert zapragnął większej dozy świeżego powietrza i bez pardonu rozwalił na oścież boczne drzwi merca. Na domiar złego, chciał się chyba poczuć jak sam Hans Kloss albo inny narodowy bohater, gdyż z okrzykiem na ustach „Spadamy!” próbował wyskoczyć na tory mijanego poniżej dworca. Szarpał się przy tym w sposób okrutny i tylko dzięki temu, że alkohol z głowy Marlona zdążył już niemal wyparować, udało się powstrzymać ten nie oczekiwany przez nikogo desant.

– Panie, to jakiś, kurwa, wariat! – wrzeszczał na całe gardło taksówkarz, nie zdejmując jednak nogi z gazu. –

Jak mi zarysował blachę, to już, kurwa, nie żyje. Zabiję chama saperką, jak mi Bóg miły! – nie przestawał urągać niedoszłemu samobójcy i wciąż czegoś szukał pod własnym siedzeniem.

– Panie, uspokój się pan, przecież już śpi – Marlon próbował łagodzić sytuację. – Chłopak miał ciężki dzień. Wie pan, co mu się przytrafiło?

– No, co? – podjął temat zaaferowany taryfiarz, w którego prawym ręku załśniła hartowana stal.

– Jego żona urodziła!

– I co z tego, ja mam trójkę!

– Ale pewnie pana żona rodziła na raty, no nie?

– No niby tak, ale to było dawno.

– Panie, ale teraz jest teraz. A ta jego kobita bez żadnego ostrzeżenia też trójkę, tylko że na raz!

Po tych słowach zapadła cisza, a Marlon kalkulował, czy facet dał się wpuścić w maliny, czy też za chwilę kawał obrobionego żelastwa spadnie na jego twarz. Nie minęła jednak nawet minuta, gdy trochę już spokojniejszy taksówkarz odłożył dowód nie popełnionego przestępstwa na sąsiednie siedzenie i rzucił w eter tak, jakby to miało dotyczyć i jego samego: – No, to ma koleś przejebane!

...

Pod dom Roberta i Gośki dotarli ostatecznie około piątej nad ranem. Stary Żoliborz przywitał ich deszczem ze śniegiem oraz absolutnym brakiem perspektyw na pozytywne rozwiązanie jakiegokolwiek problemu. Poza tym, trzeźwiejący już powoli Robert sprawiał nadal kłopoty w technicznym wymiarze całej sytuacji.